

# Styl Broalpejski

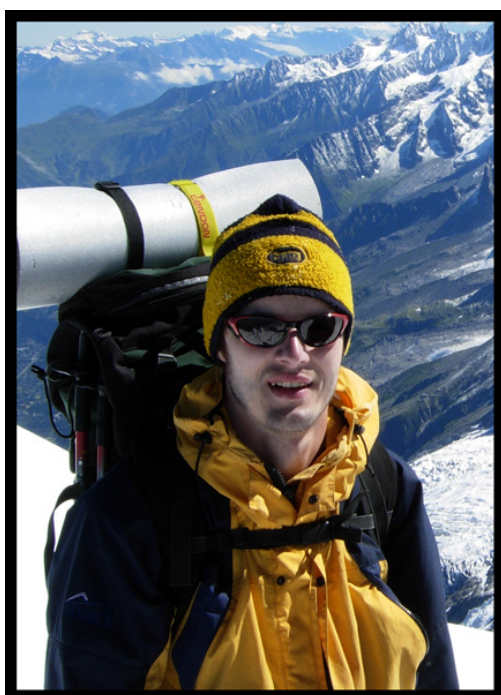
Cel – Francja – Mont Blanc – zdobyty

Kiedy – lipiec 2008

Kto – Dziku & Damian & Krzysiek

Tekst – Dziku

Zdjęcia – Dziku





Styl broalpejski z Damianem i Krzyśkiem wypróbowaliśmy już w lutym na Rysach ale nadszedł czas na sprawdzenie jego skuteczności w Alpach. I tym razem okazał się niezawodny, chociaż kiedy w poniedziałek w środku dnia popijaliśmy piwko na polu namiotowym w miasteczku trudno było uwierzyć że noc spędzimy ponad 2 tys. metrów wyżej.

A tak po kolei to: w sobotę rano przyjeżdżamy na pole namiotowe w Chamonix. Po dotarciu cieszymy się że wyszło słońce bo w trasie często lało. I dobrze, że zdążyliśmy się ucieszyć, bo następnie lunął deszcz i padał przez następne parę dni. Przez resztę soboty, niedzielę i połowę poniedziałku: deszcz, spanie, picie, deszcz, spanie, jedzenie, deszcz, spanie, deszcz, spanie, picie, deszcz, deszcz. Acha, było urozmaicenie w postaci burzy.

W poniedziałek koło południa Damian wychyla głowę z namiotu i stwierdza, że przed wejściem w magiczny sposób pojawił się karton piwek. Zanim je otworzyliśmy postanowiliśmy poczekać, czy przypadkiem nie wróci po nie poprzedni właściciel. Czekaliśmy tak dobre 3 sekundy ale nikt się nie zgłosił, więc otworzyliśmy po buteleczce (mają tam megaciotpiweńka – 0,25 l). Reszta potoczyła się jak w lutym nad Morskim Okiem. Po

piwkach nastąpił atak ADHD, a że akurat przestało padać to wyskoczyliśmy z namiotu i zaczęliśmy się pakować w góry. I tak – zamiast rozpocząć przygodę z Blankiem o świcie to my po południu fuksem pakujemy się do ostatniej kolejki i tramwaju do Nid d'Aigle – jakieś 2400 m. n.p.m. Wieczorkiem dochodzimy do ok. 3200 m. n.p.m – trochę powyżej schroniska Tete Rousse – i tu rozkładamy namiot.

We wtorek o 7 rano wchodzimy w kuluar. Tu zazwyczaj panuje niebezpieczeństwo oberwania kamykiem. Ale nie w tych dniach, bo kiedy na dole padał deszcz tu na górze x-metrowa warstwa śniegu przykryła wszelkie czające się na życie turystów kamyczki. Dochodzimy do schroniska Gouter i jako, że pora była wczesna ruszyliśmy dalej. Od wysokości ok. 4000 m. n.p.m. trochę nas sponiewierało. Skutek wysokości, całkowitego braku aklimatyzacji i ciężkich plecaków. Dowlekliśmy się do Vallota na wysokości 4362 m. n.p.m. W schronie ja i Krzysiek leżeliśmy sobie bez ochoty na nic. Za to Damian się opalał, biegał po śnieg i gotował pierożki.

W środę o świcie w całkiem dobrej formie poszliśmy na szczyt. Ogólnie to po lewej ładny wschód słońca a po prawej cień Blanca na chmurach. I mnóstwo ludzi. Trudności technicznych nie zaobserwowano. Ale wysokość może dać nieźle po łbie. Do tego uzależnienie od pogody więc zdobycie tego szczytu wcale nie jest sprawą prostą czy oczywistą. Wykorzystaliśmy 2-dniowe okienko pogodowe i dzięki temu wypad zakończył się najlepiej jak mógł. Po zejściu do Chamonix znów rozpoczęła się pora deszczowa. I znów – ale już z pełną satysfakcją – deszcz, spanie, picie, deszcz, jedzenie, picie, picie..

[Tekst z lipca 2008]

-END-

[Komentarz z września 2016]

*„Wy tam strasznie dużo pijecie” – usłyszałem po którejś prezentacji. I wtedy uświadomiłem sobie, że w Polsce nie można*

*nadużywać słowa „pić”. Nawet odmieniając przez różne przypadki. No bo pierwsze co się nasuwa po przeczytaniu tej relacji to to, że narąbani pobiegliśmy na Mont Blanc. A ja nic na to nie powiem. Bo mi się nie chce tłumaczyć. Tylko niech nikt nie próbuje po pijaku przejechać autem tysiąc km i potem zdobywać szczyty.*

Ważniejszą kwestią, z dzisiejszego punktu widzenia, jest dla mnie to, że podjęliśmy się sporemu wyzwaniu. Dziś sobie uświadomiłem, że miałem na koncie tylko jeden szczyt 3-tysięczny. Przed Mont Blanc tylko raz, z grupą nieznajomych w dodatku, związałem się w górach liną. To, że nie było poważniejszych skutków niedociągnięć organizacyjnych lub po prostu porażki, zawdzięczamy, wg mnie, przede wszystkim naszej wytrzymałości. A i szczęście na pewno dopomogło. Podstawowy błąd, o którym nigdy nie zapomnę to to, że na całodzienną walkę ze szczytem wybraliśmy się mając... po 0,5 litra płynu na głowę (na wszelki wypadek dodam, że chodzi o herbatę).

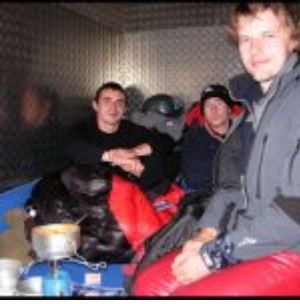
Do Chamonix zeszliśmy jeszcze tego samego dnia, którego zdobyliśmy szczyt. Pamiętam też, że była jakaś historia z jedzeniem. A właściwie jego brakiem. Na dole nie mieliśmy żadnych zapasów, a sklepy były już pozamykane. Na pewno kiedyś jeszcze spotkamy się z Damianem i Krzyśkiem i powspominamy te i inne historie związane z naszym pierwszym czterotysięcznikiem. Oczywiście przy herbacie.

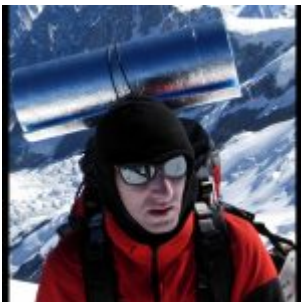
Z tym lekkodusznym podejściem wiążą się też pewne skecze. Jak np. konfrontacja na wysokości 3200 m Damiana w krótkich spodenkach z Azjatami w puchowych strojach. Albo kiedy leżąc na karimacie przed Vallotem wykrzeszałem z siebie siły by wstać, ściągnąłem koszulkę i zupełnie poważnie powiedziałem: „Zrób mi zdjęcie na naszą klasę”.











Zdjęcia kolejno rzędami:



1. Podejście do Tete Rousse (zdjęcie spod schroniska)
2. Obozowisko przy Tete Rousse
3. Spojrzenie w kierunku słynnego kuluaru Rolling Stonesów
4. Bionassay
5. Droga od starego schroniska Gouter na Dom du Gouter
6. Wysokość ok. 4000 m
7. Podejście na Dom
8. Spojrzenie z Dom du Gouter na Vallot i na szczyt Mont Blanc
9. I widok w stronę przeciwną, z Vallota na Dom du Gouter.
10. Aguille du Midi
11. Pierożki w Vallocie
12. Mrówki po sznurku na szczyt
13. Cień MB na porannej mgiele
14. Ekipa na szczycie
15. Dzik na MB po raz pierwszy
16. Zejście granią
17. Widok na obozowisko powyżej starego schroniska Gouter.
18. Dziczątko
19. Krzyś
20. Damianek